Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 1. Poznań, dnia 4. Stycznia. **1841.**

Literatura zagraniczna.

Die Kunst reich zu werden,

von

M. v. Prittwitz.

Mannheim, 1840.

Autor znany nam już zaszczytnie przez poprzednie dzieło swoje: »Ueber die Grenzen der Civilisation«, i dla tego uderza niezręcznie użyty napis, któryby mógł być policzon do owych tuzinkowych spekulacyi autorskich na pokup pism. Nie trafia ten zarzut naszego autora, po rozpatrzeniu się w jego dziele, które z ojcowskiego przywiązania synom swoim, jako puściznę po sobie poświęcił. Jest to ekonomia polityczna na praktyczny ułożona zakrój, i dla tego właściwiéj sztuką niż umiejętnością bogactwa narodowego nazwana. Że zaś narodowa zamożność od pojedynkowéj osób zamożności zależy, wolno każdemu z téj sztuki nauczyć się, przez jakie środki zbogacić się można.

Autor w rozwijaniu prawd o bogactwach krajowych poszedł za Sejem, na którym, jak jeden z pisarzy naszych trafnie powiedział, ekonomia polityczna stanęła jak wryta. Jak dalece zaś chciał mieć uważaną pracę swoją z praktycznego tylko stanowiska, pokazuje zaraz na wstępie przytoczona różnica, między człowiekiem dzikim a oświeconym, a ztąd także między narodem a narodem. »Ludzie oświeceni« powiada, »wyróżniają się jedynie tém od dzikich, że mają wyższy stopień moralnego ukształcenia, posiadają mnóstwo wiadomości i zręczności, obok wielu rzeczy przyjemnych i pożytecznych, jak np. że mają lepszą i delikatniejszą strawę, wygodniejsze odzienie, stósowniejsze i wspanialsze mieszkania i tyle innych przyjemności życia, na których ludziom dzikim zbywa«

Na ten sposób więcéj powierzchownego łatwego uważania rzeczy, niżeli głębszego i umiejętnego wziernania, opracowane jest całe pismo, odznaczające się dla tego wykładem jasnym, zrozumiałym, jakiego możeby nie znalazł w innéj książce téj saméj treści. Prawdy wszelakie, acz nie rozwinięte z głównéj filozoficznéj zasady, wyprowadzone przecież z doświadczenia, i obłożone stósownémi przykładami, trafiają do przekonania czytelnika. Zgoła wszędzie widać w pisarzu praktyka, który wiele widział, wiele poznał, i umiejętność więcéj do życia powszedniego chciał zastósować.

Jako próbkę tych zalet autora niech posłuży następujący wyciąg o zaprowadzaniu machin, i skutkach, jakie przynoszą. (§. 137. i następne.)

Machina jest to narzędzie złożone, i jak każde narzędzie ma na celu, o téj saméj sile wydać robotę i lepszą i większą, albo ochronić zdrowie człowieka od szwanku. Częstokroć prosty i surowy człowiek obchodząc około machiny, wyrabia najpiękniejszą robotę, do któréj poprzednio potrzeba było i rąk wielu i sztuki. Uderzającym w téj mierze przykładem są machiny bawełniane, mocą których jeden funt bawełny wyprzędza się na nić 29 mil niemieckich długą. Anglia i Irlandya liczyły w roku 1807. 18 milionów mieszkańców, z których tylko trzecia część trudniła się pracą ręczną, a za pomocą machin starczały wyrobów za 200 milionów ludzi. Od owéj doby liczba zaprowadzonych machin o wiele wyprzedziła stósunek zwiększającéj się ludności. Już w 20 lat późniéj było tam 58,000 przędzalni, a do każdéj potrzeba tylko pomocy jednego chłopca Długość wyprzędzonéj rocznie z nich bawełny wynosi 46000 mil geograficznych, i 71 razy możnaby nią opasać ocean atlantycki. Dinglerowski żurnal politechniczny wytłacza się na machinie parowéj, wyrównywającéj sile czterech ludzi, a tylko dwóch chłopców ją oprząta; w jednym dniu tyle się tam drukuje, ileby dziesięciu przepiśników w roku całym nie przepisało.

Dwiema głównie zarzutami protestowano przeciw zaprowadzeniu machin i zagęszczaniu się fabryk: że zatrudnieni przy nich robotnicy zaniszczają się na ciele i duszy; powtóre, że rękodzielnikom odbierają chleb, i zostawiają ich bez sposobu do życia, sprowadzając tym sposobem na kraj powszechny niedostatek pracy i utrzymania się. Zapewne, że stan fabrycznych robotników

dziś jest pożałowania godzien. Zostający w posługach machin, wchodzą istotnie tylko w ich skład, przykuci jak niewolnicy, do regularnego ich i mechanicznego biegu. Wielu z robotników po fabrykach przeciążeni są pracą, a mianowicie dzieci, których dla małéj płacy właściciele wielkich rękodzielni w wielkiéj ilości używać zwykli, wychodzą w kilka lat na niedołęgi i kaleki. W najwyższéj nędzy są także kobiety i dziewczęta zatrudnione przy fabrykach. Upodlone na duszy i ciele nie znają żadnych pociech familijnego życia, ale od wstania do kładzenia się, pracują niewolniczo na lichy dla siebie zarobek, a na zbogacenie fabrykantów.

Są to atoli nadużycia nie przynoszące uszczerbku korzyści fabryk samych. Ileż to milionów osób przy rękodziełach w takiémże samém zostaje otępieniu ciała i umysłu, zachodząc bez myśli i ducha, raz na raz przez całe życie około jednéj i téj saméj roboty? Dodajmy, że pomoc ręczna przy fabrykach nie potrzebuje tyle wprawy, co terminowanie u majstrów; że da się częściéj zmieniać, i zostawia sposobność chwycenia się innego zatrudnienia; że nakoniec w społeczności ludzkiéj, zawsze znajduje się pewna liczba ludzi, niesposobna do niczego, którychby do prac przy machinach użyć można; a przekonamy się, że upowszechnienie fabryk, wymagających wyższego światła i przemysłu nie będzie na zawadzie rozwijaniu się ogólnéj oświaty ludów.

Gdzie nie ma niewoli, i praca jest wolném zatrudnieniem człowieka, tam stan robotników zawisł od stopnia oświaty, na jakim stoją. W Zjednoczonych Stanach Ameryki północnéj nie znajdziesz ni takiéj nędzy, ni takiego upodlenia w téj klassie ludu. Robotnik nie podejmuje się tam żadnéj pracy w fabryce, jeżeli nie odbierze płacy stósownéj do swojéj zdatności. Wymaga on po właścicielu, któremu pracuje, aby go tak wynagrodził, iżby obok opędzenia niezbędnych potrzeb życia, miał z czego i jego rozkoszy zakosztować. Pracuje tylko tyle godzin dziennie, i tyle dni na tydzień, aby mu zostały także chwile wolne, któreby mógł sobie, żonie i dzieciom poświęcić. Wyrobnicy tacy ubezpieczają los familii, i starają się o wychowanie synów swoich. Nie zdarzy się tam, jak indziéj po Europie, aby się który z nich tyle wyzuł z przywiązania do dzieci, iżby je, już za młodu, z domu rodzicielskiego na zarobek wyganiał; niby juczne bydło na robotę do fabryk i rękodzielni wynajmował, i sam chudobę życia z tego życiobójczego zarobku opędzał. Lowell jest w Ameryce północnéj najznakomitsze miasto fabryczne. Jest to jedna rozległa fabryka o tysiącach dymiących się kominach, co jak długie gardziele potworu wiją w powietrzu kłęby dymu: wszędzie stukanie machin, skrzyp kół toczących się, chrzest żelaza, a w okół tego roje robotników, co wszystkie te machiny utrzymują w biegu. Nie usłyszysz tam przecież, ani obaczysz nic z tego, co u nas na wielką niekorzyść klassy robotniczéj słyszyć i postrzegać się daje. Ztąd oczywisty wniosek, że ubóztwo i upodlenie ludu pracującego przy fabrykach, nie są koniecznémi warunkami ich istnienia, ale już nadużyciem bogacących się właścicieli, a najwięcéj skutkiem ich własnéj nieoświaty.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Horoskop.

Z poematu: »*Trzy wieszczby.*«

Niniejsze opowiadanie starego dworzanina Zygmunta Augusta przypada przed samym zgonem tego monarchy. Górnicki w książce swéj: »Dzieje w koronie Polskiéj« mówi, co następuje: »Przed śmiercią (królewską) dzień w Niedzielę 6. Julii, gdym przyjechał do Knyszyna, i przyszedłem przed króla do łożnice, spytał mię jeślim z sobą przywiózł wizerunki; odpowiedziałem, żem ich nie wziął, rozumiejąc, iż wasza kr. m. tego czasu tém bawić się nie miałeś. Król zatém: jedźże do Tykocina, a bądź u mnie jutro z niémi. Odszedłem zaraz z oczyma zapłakanemi, a widząc pana zbytnie schorzałego, i rozumiejąc, że ledwie jutra doczekać miał, jechałem zaraz na zamek (bo przedtém mieszkanie było moje w mieście w dworcu) i tam przeniosłem się ze wszystkiém.« Górnicki zatém nie wrócił do króla z wizerunkami, inny stary dworzanin je przywiózł w nocy nazajutrz, to jest 7. Julii, właśnie kiedy król przyjął był najświętszy sakrament i oléj święty. August, czując zbliżający się zgon swój, pragnął zapewne oglądać wizerunki ojca swego, i ukochanéj Barbary, dwóch najmilszych mu istót — przytém mógł, troskliwy o los Polski, przypomnieć sobie powierzone proroctwo opata Jędrzejowskiego, z warunkiem odczytania go w godzinie zgonu: Skrzyneczka przywieziona zawierając i jedno i drugie, dała powód do sceny opisanéj w następnym wierszu:

Właśnie godzinnik którąś, nie pomnę, uderzał,
Lecz już dobrze w noc było, gdym na zamek wbieżał;
Zdyszany, z lekka ugnę oponę komnaty,
A chociaż w cieniu szedłem, wydał szelest szaty,
I ciąg, co pofalował damaszkiem kotary.
»Kto tam?«
»Ja, miłościwy Panie.«

»Ty stary?
Masz z sobą wizerunki?« rzekł słabo.
»Mam Panie!
Ino co z Tykocina....
Wielkie radowanie,
Gdy z lampy jaspisowéj padł odblask bladawy,
Dostrzegłem w licu króla na wieść mojéj sprawy.
Dał znak, myśmy schorzałe podjęli mu ciało
Oparłszy o wezgłowie. Potém gdy się zdało
Duszno w komnacie, ręką biskupa odprawił
Krakowskiego, toż mniszków, mnie tylko zostawił.«

»Pokaż Waść.«
»Jam skrzyneczkę misternéj roboty
Klęknąwszy podał; kluczyk otworzył ją złoty;
I król wyjmował.... Co zaś malarz tam nakreślił,
Nie wiem, iż patrząc w pana srodzem się zamyślił
I zdumiał z kądby zmiana?... bo ono oblicze
Tak zwiędłe, przybrało się w kolory dziewicze,
A oczy, by dwa szkiełka nie z siebie świecące
Zagrały gwiazd żywością, i ręce mniéj drżące
Zdały się, gdy po długu nad łożem je trzymał
Z wizerunkiem, bo pańską pierś szeroce wzdymał
I łzę dobywał. — Dziw to! istne babie lato
Ono wspomnienie, co nam bramuje bogato
Jeszcze żgło nasze, jakby do wiecznéj pościeli
Kwiaty co najkraśniejsze rzucali Anieli...
To też go odmłodziło lepiéj Bezoarów,
I praktyk onych nocnych, i z Zuzanną czarów;
Bo zrywając się z łoża siłą niezwyczajną,
Wołał: Komorny! szaty, słyszysz, szaty dajno!
Płaszczyk hiszpański, krezę, łańcuch z karbunkułem,
Jako na gody. Słyszysz! muzykę poczułem...
Bekwarka lutnię... o nie! dźwięczniejszy nad lutnie
Głos to méj Basi... słyszysz! jak woła okrótnie...
Trzymajcie, mdleję.... Matko! czego chcesz królowo?!...
I niby odpychając, zrywał się na nowo
Z wezgłowia, chcąc za oném już lecić widzeniem;
Lecz go wpół ciała wziąwszy, z pańskiém przeproszeniem,
Wtłoczyłem w łoże, kędy, na poły omdlały
Opuścił głowę, iście pod kosą kwiat biały....
Mnie strach zjął: nie wiedziałem, wołać — li lekarzy,
Lub księdza z wijatykiem, panów dygnitarzy?...
Tylkom nie puszczał z ręku, słuchał czy puls bije
Długo, długo, aż westchnął, pot oblał go — żyje!..
Chciał mówić, usty ruszał, by pragnął ochłody.
Podałem kordyał; wypił — znów zdał się jak wprzody
Jedną myślą trapiony; raz wraz ku oponie
Wzrok rzucając, to znowu wyciągając dłonie,
Zagabał: »Czyśmy sami?«
»Sami.«
»Niech nie waży
Nikt wchodzić.«
»Komornego stawiłem na straży.«
»Dobrze!« wskazał na skrzynkę »porusz te sprężyny.«
»Jam ruszył i otworzył.«
»Co tam?«
»Pergaminy
Zwinięte jakieś.«
»Wyjmij i czytaj co stoi.«
»Rozwijam, biorę czytać, a w oczach się dwoi,
Tak dziwne konterfekty i z wejrzeniem takiém
Żem mimowolnie krzyża przekreślił je znakiem,
I rzekł z ciężkością, pomnę, mniéj więcéj te słowa:

»Cichy sługa sług Pańskich, Opat z Jędrzejowa
»Berejus, *prophetico spiritu* natchniony,
»Wiedzion chwałą kościoła, i dobrem korony,
»Takowe *vaticinium* z gwiazd i książek wiela
»Zebrane, ostatniemu z Jagiellów udziela:

»Stan rycerski *viritim* na elekcyi pole
»Staje konno i zbrojno objawić swą wolę
»W wyborze głowy. Lilię wykrzykniono białą.
»W swobód słońcu miękkiemu kwieciu się nie zdało....
»Naród radzi i z za gór sprowadza ząb smoczy,
»Co butę panków, hardość Moskiewskiego toczy,
»Od pochańca mur grodzi, i w swych prac połowie
»Kruszy się.... Zżęty snopek w zamorskim ostrowie,
»Z twego ziarna, na naszym posadzon Wawelu,
»Daje pasożytnemu rospostrzeć się zielu;
»Zbywa dwóch koron; sieje ziarno przyszłych swarów;
»Ma hetmany, co w więzach stawią przed nim Carów;
»I mały, pośród wielkich, do chóru nie szańca,
»Narazi na cios mściwy głowę pomazańca.
»I zda po latach berło, Władnącemu sławą....
»Cny sternik, lecz bez masztów ciężko idzie z nawą
»Choć na twarde szkopuły wzbudzi — chmarę czerni....
»Sługa miru bożego, po koronę cierni
»Sięga po nim, i jakby każąc mir na zawsze,
»Bije się przez pożogi i mordy najkrwawsze,
»Aż dwakroć *exul* kończy na dalekim brzegu....
»Kość z kości naszych, księżyc wzbija się do biegu;
»Wzdy rychle go zaciemią pohańców księżyce...
»Michał Archanioł z niebios tarcz znosi; stolicę
»Wskaże jéj chrześciańską z kąd zabrzmi wołanie:
»Od jassyru, koranu, ratuj nas hetmanie!
»By Constantin zwycięży w świętym krzyża znaku
»I wjedzie po łbach Turków, w on gród na rumaku.
»Cóż, gdy w końcu tarcz świetna przez sidła, fortele,
»Chytrością baby, w lichym ugrzęźnie popiele!
»Dwa miecza się podniosą z rdzy błędu otarte,
»W krwi swoich zbrodzą, szponmi dwógłówego wsparte,
»Co odtąd, by kruk, wisząc nad cielskiem nieżywém
»Będzie mu darł jelita dziobem swoim krzywym,
»Bo choć miecze dobyte cisza jakby we śnie,
»Surmy głuchną, li same brzmią godowe pieśnie.
»Amen!« »skończyłem.... gwiazdy nic więcéj nie piszą....«

»Cóż daléj?« król zapyta, a piersi mu dyszą
Od wzruszenia. — »Cóż daléj?«
»Już wszystko, co było...
Odeprę.«

»Wszystko? jakże prędko się skończyło!«
I złożył na krzyż ręce, by modlił, żałował,
Że bezpotomnie nogą do grobu zstępował,
A może z sokołami przegamracił losy
Litwy, korony? Patrzę, powstały nań włosy.

Zaś w marszczkach myśl zgryzoty osiadła nad brwiami...
Żal się zrobiło; westchnę: Zmiluj się nad nami
Boże i przebacz!... gdy wtém oko padło z trafu
Znów na pergamin....
Panie! małom paragrafu
Jednego nie prześlepił; dopisan jest z boku,
I zdaje się dopełniać tajemnic wyroku.
Więc to nie koniec?... widzisz! nie koniec, mówiłem,
Czytaj!«
»Precz na zachodzie gwiazdkę upatrzyłem,
»Blask swój od konstellacyi bierze Gedymina,
»Do biegu ją popycha, Satelit drużyna,
»Krzycząc: król nasz! i strojąc w brudny szmat szkarłatu
»By mięsopust krakowski pośmiewisko światu,..
»Potém....«
»Przestań! na rany Zbawiciela, cicho!«
»Zwinął pięści i groził; — myślę, czy mi licho
Nadało czytać?« a on: »kłamie prorok kłamie!«
»I uchwycił mię silnie, jak klészczmi, za ramie,
Że znak będzie do śmierci.... Lecz zaraz osłabiał
I bledszy, upadł na wznak. Jam Panów pozwabiał
Do komnaty — toż wbiegli, szmer stał się: król kona!
Sam ksiądz biskup Krakowski dłoń przytknął do łona,
Jeszcze biło, i wargi drgały lecz bez dźwięku,
I błogosławieństwo, niby w podniesioném ręku
Zdało się spływać na nas; — poklękliśmy wszyscy;
W téj ciszy miał przemówić, ci co byli bliscy
Słyszeli: »kłamie prorok! — nie pojęli treści,
Jam jeden pojął, milczał.... gdy wtem, krzyk boleści:
Król ducha oddał! zatrząsł ścianami świetlicy.
Ryk wielki, — ja ku łożu pcham się.... blask gromnicy
Z jednéj strony twarz trupią oświeca, a z drugiéj
Przez okno otworzone, wpada promień długi
Słońca, co już wschodziło nad knyszyńskim borem,
I szkarłatném pół lica oblewa kolorem....
Patrząc w to, szczerzem wierzył, że anielskie skrzydło
Odganiało od duszy doczesność obrzydłą,
Gdy z bram raju głos płynął: Święty, święty, święty!
W skrusze i żalu padłszy, rzekłem, skroś przejęty:
»Owo tak, ziemskie wieszczby wszystkie się kończycie;
Niebieskim przepowiedniom wieczne wschodzi życie!« —

Przypisy.

Przepowiednię Stanisława Berejusa, opata Jędrzejowskiego, żyjącego za Zygmunta Augusta, zdarzyło mi się czytać w jedném dziele niemieckiém pod tyt.: »*Vaticinia*«, drukowaném w połowie zeszłego wieku, ile mogę spamiętać. Prawdziwa onéj treść jest następująca:

Flos Vallis oznacza Henryka Walezyusza, zapewne od lilii francuskich i od jego nazwiska *valesius*.

Nominis Corona. Stefan Batory. W greckim języku Stefan oznacza koronę.

Exul fortunatus. Zygmunt III. Wygnany ze Szwecyi, obejmuje tron Polski na jéj nieszczęście.

Gloria succedens. Władysław IV. Monarcha ten miał rzeczywiste przymioty, któremi chciał kraj ratować od upadku; lecz swawola szlachty kładła wszystkiemu granice; on to podmówił Chmielnickiego do pomszczenia się krzywd wyrządzonych kozakom; tém samém miał na celu osłabienie szlachty, a wzrost ludu.

Manipulus sterilis. Jan Kazimierz. Snopek był herbem Wazów — na nim też zgasła ta dynastya.

Sidus noctis brevis. Korybut Wiśniowiecki. Herb jego księżyc z krzyżami. Krótko na tronie przyświecał, silny ten męczennik majestatu, panował jakby go nie było.

Manum Congregatorum. Jan III. Pod Wiedniem stał na czele wojsk chrześciańskich; książęta Rzeszy poddali się z chęcią pod jego rozkazy.

Diversi coloris. August II. Sas. Co ma znaczyć, iż zmienił wyznanie zostając królem polskim.

Solus biceps. August III. Wpływ Rossyi od tego czasu, zaczął głównie działać na sprawy wewnętrzne rzeczpltéj.

Sonitus Apum. Stanisław August. Cały naród ocknął się z długiego letargu, pracując nad swojém odrodzeniem.

Custos vigilantium. Następne czasy mogą być pod to godło podciągnięte.

Co zaś do przepowiedni zawartéj w powyższych wierszach odstępuje ona od tradycyonalnéj, już to przez bliższe i trafniejsze określenia panujących, już użyciem symboliczném ich herbowych godeł i imion. I tak: Lilia biała oznacza Walezyusza, jako herb Francyi; ząb, Batorych godło; snopek, domu Wazów; Władysław — Kazimierz, zastąpieni słów igraszką; Michał zachowuje swój księżyc; Jan III. tarczę Janiny, daną pierwszemu Janikowi od Michała Archanioła; Augustowie Sasi, dwa miecze nakrzyż, herb Saski; Brzęk pszczoł, panowanie Augusta Poniatowskiego; króla mięsopustnego a raczéj gwiazdkę małą i ciemną wolno każdemu, jak chcieć tłumaczyć i stósować.

Przypadki Karola Chełkowskiego w podróży z Tunis do Konstantyny.

Charakter niezgięty przeciwnościami, przytomność umysłu w niebezpieczeństwach, a nadewszystko wola niezłomna w osiągnieniu zamierzonego celu — są to przymioty, które najbardziéj lubimy podziwiać w ludziach rzuconych na przygody. Myśl nasza towarzysząc takiéj podróży, czy to przez piaski Sahary, czy przez śniegi Kamczatki, lub lody północnego bieguna, czy nakoniec w przedpotopowych puszczach nowego świata, ulega tysiącznym a najrozmaitszym wrażeniom, równo z zabłąkanym podróżnym na widok grożącego niebezpieczeństwa oddech zapiera się, serce nam gwałtownie bije — podniebienie wysycha, gdy on omdlewa z pragnienia i upału, a dreszcz przeszywa na odgłos ryku Tygrysa lub czającego się Indyanina; zgoła będąc uczestnikami nieledwie wszystkich mąk jego i trudów, jakże radośnie z nim razem witamy, czy to port spokojny, czy chatę gościnną ucywilizowanego kolona. — Ten rodzaj zainteresowania czytelnika, to owładnienie jego uczuć, często najprostszém opowiadaniem, głęboko

zrozumiane zostało przez tylu a tylu pisarzy bądź romansów, bądź podróży — fikcya szczęśliwie utkana z szczegółów noszących cechę prawdopodobieństwa równie, a może lepiéj odpowiada temu celowi, niż czysta prawda. Wielu jest jeszcze, którzy widma swojéj wyobraźni podają nam za rzeczywiste niebezpieczeństwa. Przygoda Pawła Ludwika Courrier w karczmie kalabryjskiéj; może być niejako próbą owych przygód, jakiemi są napchane dzisiejsze podróże, odbywane najczęściéj na rozkaz księgarza za stolikiem przy ciepłym kominku. Wszakże co do niniejszéj relacyi, rzecz się ma inaczéj. Osoba grająca główną rolę jest żyjącą, nie zmyśloną — powieść jéj obijała się o uszy piszącego, który nic nie dodał prócz często małych uwag potrzebnych do objaśnienia obyczajów lub zwyczajów afrykańskich — daléj, osoba ta, nie żaden to bywalec światowy, ale młody niedoświadczony chłopiec, podówczas 19letni, wyrwany z cichego domowego życia drobniejszéj szlachty naszéj, znajduje się nagle śród miejsc, ludzi, wypadków, w których mąż więcéj otrzaskany z światem nieraz byłby utracił głowę i odwagę, gdy on, wśród niepodobieństw, z ułożonym planem, ciągle, mocą silniejszéj nad wszystko woli usiłuje dojść do zamierzonego kresu. Zapewne nie jeden, czytając to krótkie opowiadanie, rzeknie: spodziewałem się czegoś więcej! — Czy może dojścia do źródeł Nilu, lub posunięcia się głębiéj w środek Afryki niż sam La Caille? Na to odpowiem, że mój podróżny więcéj zrobił: chciał, bądź co bądź, złączyć się ze swoimi, i złączył się! . . . . Nowe odkrycia w geologii i historyi naturalnéj zostawmy uczonym — on był prostaczek, miał myśl, i ta go prowadziła jak gwiazda przez puszcze Numidów.

Pominąwszy szczegóły, które do zdarzeń dość zajmujących, lecz niewchodzących w obręb niniejszéj rzeczy należą, zaczniemy (używając ciągle jego własnego opowiadania) od chwili, w któréj się Chełkowski znajdował w Tryeście. — »Los mój wielce był opłakany; za całą przyszłość widziałem przed sobą szeroki ocean i kawał niekarczowanego lasu w puszczy amerykańskiéj, który miałem uprawiać łzami i potem. Załamując ręce i ciągle przemyśliwając, jakby się ratować, przypomniałem sobie pewnego Polaka, który był niegdyś konsulem amerykańskim, a teraz obywatelem tryeskim; kto wie, rzekłem w duszy, czy mi nie da choć zdrowéj rady — i pobiegłem czém prędzéj do jego mieszkania. Ów exkonsul wziął dość do serca moje położenie, kazał mi czekać, i niebawem zapoznał z kupcem tunetańskim, nazwiskiem Ali-Baba, zaręczając, iż to stary jego znajomy i że mi dobrze z nim będzie. Wiedząc tylko tyle, że Tunis po téj saméj stronie ziemi, co i Polska, zdecydowałem się od razu jechać z muzułmanem, i jakoż ukrywając się jeszcze w domu konsula przez kilkanaście godzin, puściłem się na morze i szczęśliwie w miesiącu Czerwca 1833. r. zawinąłem do Tunetu. Z tém wszystkiém, przyjęcie jakiego doznałem zaraz prawie na wstępie w dom mego patrona, nie najlepsze rokowało nadzieje, zamknięto mię bowiem natychmiast w osobnéj ciupie, jak zwierzę jakie, ogolono czuprynę i wszystkie włosy obyczajem mahometańskim (co zaś do ceremonii, z któréj tak szczęśliwie udało się wykręcić sławnemu hrabi Bonnewal, podróżny nasz nie czyni wzmianki) moje suknie precz zdjęto, a natomiast dano mi długą koszulę, szerokie spodnie po kolana, trzy kamizole, które kładłem jedne na drugie, na te kurtę czerwoną, a biały bernus na wszystko, a do reszty stroju dostałem jeszcze żółte papucie, czapkę czerwoną z długim kutasem, turban do okręcania około czapki, i pas około bioder. Zdało mi się, że po skończeniu téj toalety będę już sobie Turkiem, ale oni wzięli mię uczyć pacierza, i obrzędów religijnych, brali do meczetu, kazali bić pokłony, umywać się i odprawiać bajram a ramadan. Trwało to dosyć czasu, alem się poduczył, zato wolno mi było chodzić po mieście, które wcale brudne i brzydkie, przysłuchywać rozmowom w kawiarniach, i nic nie robić założywszy nogi pod siebie. Taki sposób życia zaczął mi coraz bardziéj się przykrzyć — przemyśliwałem o jakiém rzemiośle, a najbardziéj wojenném; albowiem z liniową służbą obeznany już cokolwiek mógłem spodziewać się, że lepiéj potrafię, jak prosty Turek. — W ciągu tego zdarzył mi się wypadek, który widno przez opatrzność zesłany, był mi na potém jedynym ratunkiem w najostrzejszych razach. Wiadomo, że Turcy, gdy zobaczą jakiego cudzoziemca, zaraz go pytają o leki, myśląc, że doktor — toż było i ze mną: Pewien stary kupiec od lat wielu cierpiał ból żołądka, ten, gdy mię spotkał, a wiedział kto jestem, uskarżał się, iż teraz cierpi jak nigdy, przyczém zaklinał, bym go ratował — z razu wymawiam się, lecz widząc, że nie ustaje, chciałem zbytéj głowy dać co bądź, i tym końcem narwałem zielska różnego — szczęściem był tam ślaz, ten ugotowawszy na gęsto kazałem mu wypić, a raczéj zjeść, co tak wyborny sprawiło skutek, iż mój Turczyn ogłosił mię za największego doktora. Leczyłem wiele jeszcze osób mniéj więcéj szczęśliwie, brałem się nawet do puszczania krwi i stawiania baniek. Na takich zatrudnieniach, a raczéj rozmyślaniach zeszło mi prawie dwa lata; znudzony nakoniec bezczynnością, zaciągnąłem się do wojska. Nędza jakiéj doznałem w tém ich wojsku dobrze dała się mi we znaki, ale cóż było robić, ćwiczyłem przynajmniéj

siły, i hartowałem się w częstych wyprawach na trybuty, gdzieśmy wychodzili na lato wybierać podatki. Przy lichym żołdzie trzech franków na miesiąc, lichszém pożywieniu, bośmy ledwo raz na osiem dni fasowali mięso, życie miewałem lepsze wtenczas, gdy jaki zbuntowany trybut kazał nasz bej zniszczyć ogniem i mieczem. W takim przypadku płacono nam za każdego przyprowadzonego konia lub wołu — barany oddawano żołnierzom na strawę — Arabów ścinano, a kobiety zaś przedawano drugim Arabom, jak u nas krowy; młodych zaś ładnych chłopców sam bej zabierał do swego seraju. Owoż w takiéj piekielnéj służbie przebyłem trzy miesiące, pracując by niewolnik, nie zaś jak u nas artylerysta, bom musiał dźwigać działa na muły, to znowu składać na ziemię do strzelania, co nieraz krwawy pot wyciskało mi z czoła. Po powrocie do garnizonu do miasta zacząłem rozważać, że trudno mnie wolnemu człowiekowi wybyć u tak tyrańskiego pana, który dla lada fantazyi może mi zdjąć głowę, i postanowiłem nasamprzód przedrzeć się ku Algierowi. Na tę drogę zaopatrzyłem się w maść na świerzbę, w puszczadło i w różne plastry; i tak udając hakim-baszę, czyli doktora, wyszedłem nocą. Trzeciego dnia szczęśliwéj mojéj ucieczki, gdym sobie odpoczywał pod cieniem kilku drewek napadnięty zostałem przez Arabów. Z razu dusza moja siedziała już na ramieniu, bo rozumiałem o nich, iż są żołnierze beja Tunis — lecz po krótkiéj rozmowie dowiedziałem się przeciwnie; byli to raczéj jego nieprzyjaciele, należący do jednego ze zbuntowanych trybutów. Powiedziawszy im, iż jestem doktór, ci wielce się ucieszyli, i zaraz mię wzięli do najbliższego trybutu, gdzie było wiele chorych na świerzbę, ból oczu, wrzody i kolki. Jak mogłem, tak leczyłem moich pacyentów, jednym puszczając krew, innym gotując zioła, a najwięcéj sposobem krajowym używając zabobonów, a to w ten sposób, iż pisałem kartki, te obszywszy w skórkę kazałem nosić na tém miejscu, gdzie najwięcéj dolega. System mój bardzo się im podobał, albowiem arabscy lekarze używają gorszego, to jest palenia żelazem, i tak: niech człowiek lub zwierzę ma kolkę, przykładają rozpalone żelazo, — niech kurcz żołądka, żelazo, — ból głowy lub zębów, żelazo, — dla tego wszyscy Beduini i konie ich noszą liczne znamiona téj bolesnéj operacyi. Za te leki, które mi się dość udawały szczęśliwie, chcieli mi płacić, alem ja zawsze nic nie przyjmował, wiedząc, iż nie ma łakomszych ludzi na grosz, jak oni, przeto gdybym był co zebrał, niechybnie by zabili. Taka bezinteresowność zrobiła mi wielką wziętość, uważali mię bowiem za człowieka świętego, i puścić od siebie nie chcieli. Wszakże mając już zamiar uknuty, postanowiłem ruszać daléj, zwłaszcza żem się poznał z okolicą — nie myśląc też długo zabrałem się i uciekłem, dążąc ku miastu Byskrie, lecz w drodze złapany od wojska Beja Achmeta, zaprowadzon zostałem przed tego pana, który dowiedziawszy się com za jeden, kazał opatrywać chorych, a do tego pełnić służbę przy artyleryi. W téj artyleryi poznałem czterech Francuzów, którzy pewnéj nocy uciekli, lecz pojmani, skazani zostali na zaszczucie psami — wyprowadzono ich w pole i tam puszczono na nich te psy, które większe od naszych chartów, w jednéj chwili rozdarli nieszczęśliwych w kawałki Patrząc żywémi oczyma na to barbarzyństwo, ryzykowałem się uciec. Widzieć takie pastwienie się nad bliźnim, równało się śmierci; ważyłem więc jak to mówią: starosta albo kapucyn. Wybrawszy dogodną porę, uszedłem; kierując się trochę ku wschodowi, dostałem się na wielką równinę, gdzie nic a nic nie rosło; było to bowiem słone jezioro, ale wyschłe, i tylko sol, podobna do lodu naszego po przymrozku, łamała się pod nogami. Trzy dni i trzy nocy szedłem tą solą. Bez kawałka chleba, bez kropli wody cierpiałem czyszczowe męki — zaopatrzony w dwa słoiki lekarstwa na świerzbę wyjadłem je z głodu, a z pragnienia wielkiego mocz własny ochłodziwszy w tych słoikach, piłem! — Czwartego dnia, kiedy mi już prawie sił brakło do chodu ujrzałem nagle zielone pastwisko — któż opisze, z jaką radością zbliżałem się do ogromnéj trzody bydła pasącéj się na niém. Tam znajdę przecież żywą duszę, nie odmówi posiłku, gdyż gościnność u Arabów rzecz święta. Opatrzność jednakże na ciężką wystawiła mię próbę, albowiem uszedłszy kilkaset kroków, mniemane owe bydło zamieniło się w sarny, które widokiem moim przestraszone uciekły. Załamałem z rozpaczy ręce i szedłem oną szeroką łąką; tak ciągle idąc przed siebie, postrzegłem nad wieczorem sześciu leżących Arabów. Zbliżam się — widzę tylko trupy nadgniłe do pół zagrzebane w piasku. Taki los, pomyślałem, i mnie tu spotka w tym przeklętym kraju, gdzie siedzi na karczmie dwóch gospodarzy: głód i pragnienie. Po krótkim wypoczynku przy nieszczęśliwych, zebrałem wyschłe moje kości i szedłem znowu dzień cały. Już słońce miało się ku zachodowi, kiedy naraz odsłania się przedemną widok kilkutysięcy wielbłądów, — podniosłem ręce, dziękując opatrzności, że mię jeszcze zachowała od śmierci, lubom w duszy obawiał się, czy to wszystko znowu nie zniknie z przed oczu, jak owe sarny, gdy wtém na uspokojenie moje wyskakuje trzech pastuchów na koniach, przypadają z pistoletami do mnie i przykładając do piersi pytają, com za jeden i jakiéj religii. — omdlewając z trudu i głodu zaledwiem mógł odpo-

wiedzieć. Ci ludzie postrzegłszy mój stan, prowadzą zaraz do wielbłądzicy, która miała źrebię, i każą ssać; jakoż ja za jeden cycek, źrebię za drugi; podessawszy tego mleka, które jest zimne, przyszedłem cokolwiek do sił, ale gdy mi dali konia, abym jechał z nimi do bliskiego trybutu, nie mógłem nań wsiąść i wolałem iść piechotą. Przybywszy do nich dają jeść i pić mleko. Napiwszy się znowu, padłem prawie bez duszy na dywan, taki mocny sen mię zmorzył. Po wypoczynku, który trwał wiele godzin naszło dużo Arabów do domu i wypytują, ktom taki? Odpowiadam, że doktór podróżujący z Tunis — jakoż znowu narobiwszy maści, leczyłem sposobem wyżéj wymienionym. Przepędziwszy jakiś czas z nimi, oświadczam, iż życzę sobie dostać się do moich braci (Turków) zostających w Maroko — lecz oni się przeciwią, odradzając, iż po drodze mnóstwo rozbójników. Na szczęście przechodziła wtedy karawana do miasta Busady, leżącego na zachód ku Maroko, a 10 dni od Konstantyny. Zabieram się z karawaną i dostaję się do pomienionego miasta. Tam ogłoszony za sławnego lekarza przyjęty byłem najgościnniéj; pewien kupiec, który często chodził z karawaną do Maroko, zbliża się do mnie i prosi, abym został u niego, a łatwo przy sposobności sam mię zawiezie — propozycyę jego przyjmuję, a w duchu układam sobie, jakby tu dostać się do Konstantyny, będącéj teraz w ręku francuzkim. Kuracyę moją zaczynam nieco na większy sposób — mój gospodarz się cieszy, że tak sławnego lekarza ma w domu. Chorzy idą jak na miejsce cudowne, a ja za każdą wizytę biorę barana, którego Arabi z taką dawają radością, jakby na ofiarę dla Mahometa. Daninę tę oddawałem memu gospodarzowi zowiącemu się Sydy Ezeies — onto dał mi radę, nie brać pieniędzy i nigdy nie odwiedzać żadnego Araba, dopóki dziesięciu lub piętnastu nie przyjedzie dla mego bezpieczeństwa; w takiéj to ja eskorcie wyjeżdżałem sobie by jaki generał ze sztabem. Sydy Ezeies rozkochał się we mnie, jak w bracie. Dla spraw handlowych zmuszony wyjeżdżać z domu, zostawia mię na gospodarstwie, i przyrzeka za powrotem dać mi jedną z żon swoich, których miał cztery. W niebytności jego mając sobie powierzone klucze, wydawałem kobietom ze śpiżarni mąkę, masło, figi daktele, a one wciąż mizdrzyły się i pochlebiały, dopytując, którą z nich sobie wybiorę na żonę. Jak mogłem cieszyłem niebogi, a sam codzień wychodziłem na minaret meczetu, rozpatrując, w którą tu stronę najlepiéj będzie uchodzić. Pewnego razu już za powrotem kupca, kiedy jestem na obserwacyi, postrzegam, aż tu co prędzéj z gór spędzają bydło do miasta, i wszędzie wielka trwoga a zamieszanie. Pytam zeszedłszy na dół o przyczynę, i dowiaduję się, iż to Bej Achmet z Byskry, od którego uciekłem, przybył za wybieraniem podatku. Z razu myślałem ratować się ucieczką, ale miasto było już wojskiem otoczone. Gospodarz mój dotąd nic o méj ucieczce nie wiedział, wreszcie myślałem, iż sprzyja swemu bejowi, i bałem się zdrady. Gdy jestem w takiéj trwodze, mieszkańcy się godzą dobrowolnie i płacą haracz, a wojsko Achmetowe kwateruje się w mieście. Myśląc, że wszystko dobry koniec wzięło, wychodzę przed sień i w samych drzwiach przed domem spotykam żołnierza z téj saméj artyleryi, gdziem i ja służył. Człowiek ten poznaje mię od razu, rzuca się na mnie, uderza w głowę, zrywa turban, a związawszy ręce w tył, wlecze przed beja. Już mi w myśli stanął ów los okropny czterech Francuzów rozszarpanych psami, już koniec widziałem niechybny; gdy mój gospodarz przestraszony wybiega, i znacznie żołnierza pieniędzmi łagodzi. Szczęściem, że nikt na to nie patrzał. Żołnierz dał się namówić i tak dobroczyńca mój ocalił mię od niechybnéj śmierci. — Nie wyszło jednakże dni dziesięć po odejściu wojska, gdy Achmet przysyła szpiega do rządcy miasta z rozkazem, aby odbył rewizyę i mnie dostał żywcem lub trupem — że zaś ten rządzca był moim i mego kupca przyjacielem, ostrzegł nas bym się przechował. Widząc, jak biedna moja osoba nie jednego może złakomić dla podłego zysku, umknąłem w nocy i szedłem na wschód słońca ku Konstantynie.

Drugiego dnia, gdym dochodził do jednéj równiny, napadają mię rozbójniki, obdzierają do naga i ledwo darowują życiem. Nie wiedząc, gdzie jestem, przytém nagi, zgłodniały wlokę się przez puszcze i dopiero trzeciego dnia napotykam pomiędzy górami gurbię czyli chałupkę, przy niéj cmentarz i ogród pomarańczowy. Tam zastałem dwóch Arabów, trzy kobiety i kilkoro dzieci, lecz wszyscy byli nadzy, co mi się bardzo podobało, gdyż własna moja nagość mniéj mi się wstydną wydała. Ludzie ci zaraz mię poczęstowali leguminą z jaglanéj mąki, którą zowią kuskussu: podjadłszy zaprowadzony zostałem do obory, gdzie było ciele i koza, i tam miałem nocować; że zaś to się działo w porze zimowéj, dano mi trochę drzewa: rozniecilem ogień, który prędko wygasł i znowu trząsłem się od zimna: nie mając niczém się okryć, wpadłem na myśl poprosić kozy o tę usługę, jakoż przyciągnąwszy ją za rogi położyłem przy sobie i tak jéj długą wełną zabezpieczyłem się jak mogłem. Nazajutrz podziękowawszy za ten nocleg arabski, zaciągnąłem do wsi nazwiskiem Bołałob. Araby obskakują jak zwykle — pytają — odpowiadam, żem doktór — i natychmiast bierze mię ich

marabut, ubiera, i każe zostać u siebie. Marabut ten, który także zajmował się leczeniem, miał u siebie rozmaite zioła z różnych stron Afryki, a nie wiedział do czego służą lubo i ja niemędrszy, przecież nie tracąc fantazyi porobiłem lekarstwa z nich, powiadając, że to na taką, a to na owaką chorobę, czemu wierzył, jak w koran. Gdy mi się naprzykrzyło z tym marabutem, rzucam go, jak tylu innych, i trzymam się ciągle ku Konstantynie. — Na wieczne nieszczęście wpadam znowu w ręce Arabów, którzy obdzierają mię do naga.

Postrzegłszy w niewielkiéj odległości wiele gitunów czyli namiotów, idę za témi Arabami, prosząc, aby mi dali czémkolwiek okryć ciało — lecz ci sami wypadają na mnie, dobywszy kandżarów, i już chcą łeb uciąć, gdy inni i kobiety ujmują się za mną, i prowadzą do swego gitunu. Za nadejściem nocy dali mi kawałkiem starego bernusa owiązać biodra, a wywiodłszy cichaczem, kazali uciekać. Podziękowałem czule za tę pomoc, i puściłem się daléj aż do wsi Folchama, leżącéj na granicy ziemi Beja Achmeta i Abdel-Kadera i tylko o pięć dni drogi odległéj od Konstantyny; tam przystojnie okryty znowu leczyłem Beduinów W ciągu zdarzyło się mi zapoznać z wieloma Arabami, którzy z Konstantyny byli tu na robocie, a po onéj ukończeniu mieli wracać do siebie; jednakże ociągali się jeszcze, czekając póki nie przygotuje się transport żywności i różnych towarów wysyłanych na sprzedaż do miasta przez mieszkańców tego trybutu; a to, aby bezpieczniéj w wielkiéj liczbie mogli się oprzeć napaści. Gdy ta karawana gotową już była do pochodu, jam oświadczył chęć dostania się z nimi do Milii, wielkiéj wsi o dwa dni drogi od Konstantyny, składając, iż tam mogę mieć znaczne dochody z mojéj sztuki.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

W tym samym czasie, gdyśmy uskarżali się na przepych, ukazujący się znowu od niejakiego czasu, w pewnéj klassie dam naszéj prowincyi, uskarża się na toż samo Gallicya, w pewném zagraniczném polskiem piśmie.

Pismo dawniéj pod nazwą »Wiadomości historyczne i literackie« wychodzące rozkoszuje się w ostatnich numerach swoich nad zdaniem, iż potrzebna, aby byli na tym świecie ubodzy, bo bez nich litość i miłosierdzie byłyby niepodobne. »Jest to nowy dowód, do czego może doprowadzić Jezuityzm,« mówi jedno z najszacowniejszych pism, »proszęż teraz coś szczytniejszego w Machiawelim pokazać.«

Młody artysta Roman Postępski wydał w litografii Norblina obraz, wyobrażający Głowackiego w chłopskiéj sukmanie opartego na swéj broni.

Professor Purkinie tłómaczy obecnie Maryą Malczewskiego na czeskie. Mamy nadzieję, że w krótce wyjątki z niéj, nadesłane nam przez autora, umieścić będziemy mogli. — Pracuje on także nad metodą, jak najłatwiéj Czechowi nauczyć się po polsku, a Polakowi po czesku.

W Warszawie wyszedł w tych dniach noworocznik na ten rok »Pierwiosnek.« Składa się jak w latach poprzednich z artykułów samych kobiet. Tamże ogłosiła pani Marya Gołębiowska prospekt na mozaikę Warszawską. Wspierana pomocą kilku dam znanych z prac swoich, nie będzie, jak ogłasza w prospekcie, przyjmować do pisma swego, jak to. co przez kobiety utworzone lub tłómaczone będzie. Mozaika wychodzić będzie w zeszytach, co pierwszego i piętnastego k. m. w objętości około 50 stron. Cena prenumeraty kwartalnie złotych 4. Sześć poszytów stanowić będzie jeden tom. Dodawane będą śpiewy, mody, formy szczególnych krojów sukien, kapeluszy i t. d.

Encyklopedyi powszechnéj wyszedł zeszyt trzeci, tomu dziewiątego, obejmujący literę »P.«

Z noworoczników odznacza się ozdobném wydaniem i w tym roku noworocznik »Niezapominajki« przez Karola Korwela, który w dniach tych wyszedł z druku. Cena złotych 10.

Oczapowskiego dzieła »Gospodarstwo wiejskie« wyszedł 28my poszyt, kończący »zasady ogólne chodowli bydląt domowych, a w szczególności chów owiec.« Prenumerata na to ważne dzieło przyjmuje się jeszcze na 32 poszyty, po zł. p. 66.

Po Henryku Ligenzie, zmarłym w Morreale, pozostałe pisma wyszłe w Paryżu, zawierają: 1) Syn cieniów, 2) Legenda, 3) Syn Cezary. W przedmowie wydawcy pana Mielikowskiego uderzył nas dziwny dziś już podpis: »Mielikowski przydomku i herbu Gozdawa.«

Pan Wysocki ogłosił prenumeratę na zbiór śpiewów. Zbiór ten zawierać będzie dziesięć numerów: 1) Modlitwa sieroty, 2) Do mojéj gwiazdy, 3) Wiązanie dla dziewicy, 4) Rusałka, 5) Tęsknota do kochanki, 6) Czarnobrewa, 7) Dzień dobry, 8) Kłopot, 9) Wieczorny dzwon, 10) Do przyjaźni. — Czas pomyśleć pisze on w liście donoszącym nam o tém, aby publiczność nie tylko po włosku i francuzku, ale i po polsku śpiewać zaczęła. Przedsięwzięcie moje będzie zarazem pierwszą próbą sztychowania nót, wstyd bowiem wspomnieć, żeby w mieście jak Warszawa 100 kilkadziesiąt tysięcy ludności mającém, dotychczas ani jednéj większéj kompozycyi sztychowanéj nie wydano. Cena prenumeraty na 10 pieśni 6 złt. groszy 20; po wyjściu kosztować będzie złt. 10. Redakcya Tyg. równie jak księgarnie Stefańskiego i Żupańskiego przyjmują do 15go prz. m. prenumeratę.

Pan Emil Jenike wydał w Berlinie 9 pieśni na jeden głos, z textem polskim i towarzyszeniem fortepianu. Cena dwóch poszytów złt. 5.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*